

Hanna Sukare

ADELA

Bliscy zmarłego zastygają na jakiś czas niczym drzewa. Zawierają siebie porom roku, upałowi, opadom, szadzi. Wpatrują się w to, co rozproszone, czekają. Co wówczas powstaje? Słoje wskazujące na wiek. Następnymi, którzy padną, są oni sami. Tymczasem pozostają im okruchy własnego życia. Strzygą żywopłoty, wycinają młode pędy, taczkami zwożą liście na kompost, zbierają suche gałązki, strącone na ziemię przez wiatr. Pewnej nocy sen podpowiada im: „Rzuć się w powiewające jasnożółte zasłony dni”.

Po śmierci Jad zapisałam się na konferencję o getcie w Litzmannsdadt i po raz pierwszy pojechałam do Łodzi.

– Czy byli państwo Polakami czy Niemcami?– to osobiste pytanie mnie zaskakuje. Powinnam być na nie przygotowana, umyślić sobie zawczasu jakąś odpowiedź. Polka czy Niemka? Nie widać po mnie, czy jestem raczej Polką czy raczej Niemką, widać za to, że nie jestem Żydówką? Pytanie jest wprawdzie skierowane do mnie, ale dotyczy moich łódzkich przodków. Czy byli Polakami czy Niemcami? Stoję w sali łódzkiego ratusza naprzeciw kobiety, która zadaje mi to pytanie, stoimy pod jednym dachem. „Dach” – to słowo nas łączy, podobnie bliski jest nam obu ratusz, spokrewniony z „Rathaus”.

W Litzmannstadt ściśle oddzielono od siebie Polaków, Żydów i Niemców, a przyporządkowanie do jednej z tych grup rozstrzygało o życiu lub śmierci. Nie przyjechałam jednak do Litzmannstadt, lecz do Łodzi. Jestem obywatelką Unii Europejskiej, tak jak moja rozmówczyni. Czy w Łodzi trzeba odmieniać przez przypadki nie tylko nazwiska i

liczebniki, ale i swoje pochodzenie? Czy ktoś, kto przyjeżdża do Łodzi, musi wiedzieć, po której stronie stanęli jego przodkowie? Płaczą mi się myśli. Nie mogę podzielić się nimi z moją rozmówczynią, pogrążam się więc w milczeniu. W niezręcznie długim milczeniu, które może wzbudzić wobec mnie podejrzenia. Ale o jaką zbrodnię?

„Oliwa na wierzch wypływa”, mawiała Jad.

Takie powiedzonka stanowiły nieodłączną część Jad, podobnie jak uniesiony palec wskazujący. Jej sentencje osaczają mnie w tym mieście. Są wszechobecne.

„Świat chce być oszukiwany, niechajże więc będzie”, mówiła. Skąd ona brała te mądrości?

Stoję w milczeniu naprzeciw kobiety, pod dachem łódzkiego ratusza. Jej niemiecki jest bezbłędny, acz głoski mają trochę dziwną barwę. Prowadzący obrady przerywa moje milczenie. Oznajmia, że w bufecie podano obiad, i dalej rozmawia z wypytyującą mnie kobietą, którą chyba zna.

– Pójdę przodem – mówię i znajduję stolik, przy którym jest już tylko jedno wolne miejsce.

Jad mawiała: Mam dwa języki ojczyste. Ze mną rozmawiała po niemiecku. Ze swoją matką Magdaleną i siostrą Frantzek – po polsku. Obcy język ojczysty jest grobem, ciasnym i ciemnym. Niemcy i Austriacy, siedzący obok siebie, gawędzą po niemiecku.

– Gdzie są Polacy? – pytam obecnych, chociaż najchętniej od razu cofnęłabym to pytanie. Nie chcę zwracać na siebie uwagi, ale słowa już padły z moich ust. Pewien mężczyzna z Berlina odpowiada, że chyba mają drugą jadalnię gdzieś w piwnicy. Zmieniam temat na bezpieczniejszy.

– Czym się pan zajmuje w Berlinie?

– Topografią terroru.

Taką nazwę nosi jego instytut. Prowadzi w nim badania nad bankami w Polsce w czasach okupacji niemieckiej. Udzieliwszy mi odpowiedzi, zwraca się do kogoś innego.

Jad czasem opowiadała o praktyce w Lodzer Bank, mimo że jej o to nie pytałam. Pracowała tam młoda Żydówka, która uważała się za kogoś lepszego.

– Czekaj, czekaj – pomyślałam – pycha kroczy przed upadkiem. No i proszę, pewnego dnia Żydówka zniknęła.

Takie zdania były dla mnie niesamowite. Także teraz, kiedy przychodzą mi do głowy, przeszywa mnie dreszcz. Pochylam się nad zupą i udaję, że mnie nie ma. Jad pracowała w banku. Pewnego dnia wystawiła żydowskiemu klientowi kwit na wypłatę trzydziestu tysięcy reichsmarek. Mężczyzna ruszył od kontuaru przez halę kasową w stronę okienka. Zanim jednak do niego dotarł, opuszczono ze zgrzytem kratę. Mężczyzna stanął jak wryty, na jego twarzy pojawiło się przerażenie. Bank przestał wypłacać Żydom pieniądze.

Kiedy mi o tym opowiadała, szkicowała na kartce halę kasową Lodzer Bank, zaznaczając przerywaną linią drogę mężczyzny od kontuaru do okienka. Przyglądałam się Jad i myślałam, że opowiada historię, którą przeczytała u Andrzeja Szczypiorskiego, z drugiej strony szkic ten nadawał jej opowiastce wiarygodności.

Po południu za ratuszem czekają dwa autobusy. Jeden z nich pokryty lakierem metallic, z dobrym zawieszeniem i pasami bezpieczeństwa przy każdym miejscu. Wsiadają do niego uczestnicy konferencji z Wiednia i Berlina. W drugim sadowią się ci z Warszawy i Łodzi. Ich autobus jest dość stary i kiedy kierowca porusza kierownicą, coś skrzypi.

„Gość w dom, Bóg w dom”, mawiała Jad.

Przez całe życie pozostała wierna tej zasadzie polskiej gościnności: Każdego gościa przymusza się do jedzenia, bez względu na to, czy ma

ochotę jeść, czy nie. Serdecznością pozbawia się go wolnej woli i wtedy już nie wiadomo, czy to gość jest tym bogiem, czy też w domu jest jakiś bóg, który nim dyryguje. Jako gość czuję się w Łodzi nieswojo, bo Polacy siedzą w starym autobusie. Obydwa jadą na północ. Moja sąsiadka wyciera rękawem zaparowaną szybę i wskazuje za okno.

– Tam był most. Drewniany. Łączył ze sobą dwie części getta.

Jad mówiła: „Nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje w getcie.”

– Kiedy Łódź nazywała się Litzmannstadt, – mówi siedząca obok mnie kobieta – po obu stronach ulicy był drut kolczasty. Tramwaje nie mogły się tu zatrzymywać, a Żydzi chodzili mostem. Mam na imię Renia. Wślizgnęłam się do niemieckiego autokaru. Jestem aktorką w teatrze amatorskim. Mamy właśnie próby do „Bitwy pod Grunwaldem”.

– Bitwy pod Grunwaldem?

– To było dawno temu, w 1410 roku. . Przegnaliśmy wtedy Niemców. Gram Krzyżaka – mówi ze śmiechem.

Czasy krzyżackie przyniosły do Polski słowo „Gewalt”, które już tu zostało, tyle że gdzieś zgubiło się w nim „e” i powstał „gwałt”. Odmienia się tak samo jak każdy inny polski rzeczownik. „Mit Gewalt” to po prostu „gwałtem”.

Autobusy docierają do jakiegoś miasteczka, droga odbija tu na zachód. Śmiech Reni cichnie i kończą się opowiadki o sztukach teatralnych.

– Jesteśmy na miejscu. To Kulmhof – mówi, wskazując tablicę z nazwą miejscowości: „Chełmno nad Nerem”.

Uczestnicy konferencji z Berlina i Wiednia, z Warszawy i Łodzi, spotykają się wieczorem. Z kieliszkiem w jednej ręce, każdy balansuje talerzem, niosąc go od bufetu, do miejsca, gdzie może zjeść i pogadać. W pobliżu bufetu tworzą się grupki, które toczą rozmowy po polsku,

angielsku i niemiecku, piją swoje zdrowie, śmieją się, wymieniają wizytówkami.

Od jednej z grup odłącza się kobieta, która wcześniej zadawała mi pytania, i podchodzi do mnie.

– Jak się pani podobało w Łodzi? – pyta, ale nie czeka na odpowiedź.

– Niestety nie mogłyśmy kontynuować naszej rozmowy. Proszę, niech pani coś jeszcze opowie o swojej rodzinie z Łodzi. Byli Polakami czy Niemcami?

Dziś jestem już przygotowana na to pytanie, staram się więc zachować spokój w głosie.

– Niemcami – odpowiadam. – Byli Niemcami – mówię i tym samym wypieram się pierwszego kraju Jad, jej języka ojczystego, zdań, które wymieniała z Magdaleną i Frantzek, jej polskich słów, do których w końcu, skołowana, powróciła. Wypieram się swojego dziadka Antoniego, młodo zmarłego Polaka. W Łodzi mieszkała nie tylko Jad z psem Chrapkiem. W Litzmannstadt mieszkali też naziści. Magdalena przeszła na niemiecką stronę, a Jad wraz z nią. Nie spadł im włos z głowy. Ich decyzja i milczenie są moim dziedzictwem, rozstrzygają o mojej odpowiedzi.

Teologowie mieliby na podorędziu słowo na moje ukryte zamiary: *restrictio mentalis* – ciche zastrzeżenie, poczynione jedynie w myślach: niczego nie będę wyjaśniać. Czyż jakiegokolwiek wskazanie na moje polskie korzenie nie brzmiałoby tak, jakbym chciała wytłumaczyć Jad? Wytłumaczyć z czego? Czy każde kolejne słowo nie znaczyłoby, że chcę coś upiększyć? Co upiększyć? Czy każda kolejna odpowiedź nie budziłaby podejrzeń, że chcę się odciąć od przeszłości? Czy historia Jad w Kraju Warty jest też moją historią?

– Byli Niemcami – mówię. – A skąd pochodzi pani rodzina?

– Jestem Żydówką – odpowiada – nie chciałabym rozmawiać o mojej rodzinie.

Znów milknę. Nie przychodzi mi na myśl żadne słowo, które byłoby nam obu wspólne. „Śmierć” weszła do niemieckiego z polszczyzny. W niemczyźnie powstał z niej „ból” – „Schmerz”.

przełożył

Andrzej Sosnowski